Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 7. Poznań dnia 13. Maja. 1839.

Literatura zagraniczna.

„Vorlesungen über die Geschichte der Poesie, gehalten von Fortlage. Stuttgardt, bei Cotta. 1839."

(Dokończenie.)

Przegląd poetycznéj krainy.

Abyśmy dokładniéj charakter poezyi poznali, i właściwe ujrzeli światło, w którem nam się malują różne życia i piękności ideały, rzućmy okiem na następujące narody:

Chiny wiecznie się do nas uśmiechają: tam wszystko błyszczy w promienistym dnia świetle. Wyobrażenie wielkości, ogromu, majestatu zajmuje duszę i przeplata się częścią głębokiem, lecz łagodnem narzekaniem, częścią wesołym uśmiechem. Życie Chińskie kręci się zawsze około majestatu i blasku państwa: było to niegdyś życie światła, oświaty, rozumu, nauki. Położenie kraju dostarczało także poezyi wesołych i lekkich obrazów: żyzne równiny, a po nich błądzą piękne zwierzęta, jelenie bażanty. Pelikan i czołgająca się kaczka gnieżdżą się nad szerokiemi rzekami. Zieloność drzew, kobierzec kwiatów: wszędzie kraj uprawiony, poprzerzynany kanałami i drogami publicznemi, a rólnictwo i jedwabnictwo kwitną.

Przechodząc do Indyi, uderza nas mglista powłoka, magiczne postaci przy uroczym księżyca blasku. Tutaj panują wyobrażenia ogromne, potworne. Bajki i dziwne powieści nie mają końca: powieści pełne ozdób i epizod. Wdzięki tropicznéj wegetacyi otaczają nas tutaj w całem uroczu, upajając duszę. Życie Indyan jest zupełnie religijne, skłonne do fanatyzmu, do mistyczności i pustelnictwa. Bohaterowie walczą z potworami i olbrzymami. Jaw snem się być wydaje, a sen w życie przechodzi; otwierają się bramy fantastyczności. Indye są krajem mythów i bajek. Natura kraju dostarczyła tutaj poezyi podobnych obrazów. Gęste lasy otaczają nas, pełne najbujniejszéj wegetacyi; a fantazya zaludnia te lasy straszliwemi potworami, wężami, małpami, słońmi, płastwem różnego rodzaju. Na sam szczyt Himalaja spadają z nieba wody, obmywające grzechy ludzkie. Rzeka Ganges, przepływająca kraj cały, oczyszcza każdego, kto się w jéj świętéj wodzie skąpie.

Egipt jest to kontrast Chin, dla poezyi jest on wprawdzie nieprzystępny, obumarły; lecz w innych utworach sztuki nader ważne zajmuje miejsce. Widać wszędzie posępny, czarny koloryt nocy. Jest to idea śmierci i nieśmiertelności, powtarzająca się nieustannie w tysiącznych lubo monotonnych ogromu postaciach. Ta melancholiczna zgodność uczucia z ideami, znajduje w przyrodzie, ziemi i klimacie naturalny obraz i źródło, w krainie ogołoconéj z roślin, deszczu, gdzie słońce zetrze wszystko i wypali.

W Persyi widzimy z dawna walkę niespokojnych duchów, walkę obskurantyzmu ze światłem; odpieranie wdzierających się z Indyi, Syryi, Chaldei i Fenicyi przyćmionych i zabobonnych wyobrażeń. Dla tego czczono szczególniéj czystość i jasność przezroczystych żywiołów; czystość wody, świeżość powietrza, pożerający płomień i eteryczne światło.

Przenieśmy się teraz z fantastycznego wschodu do Grecyi, do innego zupełnie żywiołu. Tu wszystko inne na nas czyni wrażenie: chłod dobroczynny krzepi nasze zmysły. Morskie obrazy grają główną rolą u najdawniejszego greckiego wieszcza Homera, poezya owiewa nas, jak chłodny zefir. Jest to poezya myśli, ujętéj w pewną formę: tutaj panuje plastyczna piękność, obudzona przez gimnastyczne igrzyska i wielkie heroiczne życie. Tutaj piękność jest eterem nie zapalającym, lecz chłodzącym dziki zapał. Ulubione temata téj poezyi są historyczne: Przeznaczenie i Nemesis w historyi, heroiczność przyjaźni i wierności, wielkość charakteru i opanowanie samego siebie, znosząc z szlachetnością niezbędną konieczność. I tutaj piękność kraju i klimat dostarczyły poezyi potrzebnego żywiołu. Na około oblany morskiemi bałwany, wkradającemi się w tylu zatokach i cieśninach w głąb ziemi, przedstawia i wewnątrz przyjemne doliny, poprzerzynane chłodzących

wód pasmem. Szczyty Parnassu i Olimpu otoczone zawsze jasną światła powodzią. Jest to kraina bohaterów uwieńczona dębem Jowisza i Pallady oliwkowem drzewem; tysiącznemi bluszu uwieńczona gajami.

Z Grecyi przejdźmy do hebrajskiego żywiołu, ścierającego się gwałtownie z całem pogaństwem. Tutaj zachmurza się niebo, a grzmot nieustanny huczy straszliwie. Pełna affektu poezya rozdziera niewymowną raną, wytryskając, jak krew z duszy. Czarne i posępne obrazy. Salomon, poświęcając kościoł, powiedział: że Jehowah w nocy mieszkać chce. Grzmoty na morzu. Jehowah grzmi na puszczy. Grzmot góry Synai i trąb odgłosy zgromią każdego, kto się poważy przestąpić.

Samotna puszcza, wspaniałość morza i majestat gwiaździstego nieba są obrazy, któremi się poezya najczęściéj zajmuje. Nadto okropności królestwa zwierząt, Lewiatam Behemoth, pustoszącéj szarańczy chmury, plagi egipskie, jadowite pustyni węże dostarczają farb poezyi. Gdzie atoli przeszumiały straszliwe burze serca, tego przyjmują rozkoszne Silow i Kidronu strumyki, Salomona zachwycające ogrody, wysokie cedry Libanu.

W Arabii także poezya błąka się z nomadyjskiemi bohaterami pustyni. Szlachetny rumak, wielbłąd wstrzemięźliwy, uzbrojona karawana, przezroczysty i gwiaździsty namiot niebieskiego sklepienia, wspaniałe zorza wschodzącego i zachodzącego słońca, magiczny blask księżyca, oto zwyczajne poezyi obrazy. Starożytny, hebrajskiemu podobny stary affekt przechodzi późniéj w miłośną poezyą serca.

Nakoniec jeszcze jeden rzut oka na północ. Północ jest to dalszy ciąg indyjskiego wschodu. Charakter północny objawia się w smutnym i mglistym Ossyanie. W słabych zarysach wywiedzione na jaw postacie, znikają w mgle. I tutaj poezya ściśle z przyrodą spojona.

Na tem się kończy zakres narodowéj poezyi; albowiem wszystkie inne są tylko naśladowaniem lub mieszaniną opisanych ideałów.

Ten szkic da nam poznać główną myśl i plan autora, który następnie w obszernych wywodach uzupełnia, a wszędzie przytoczeniem głównych zarysów i ważniejszych poetycznych utworów objaśnia.

Tak więc zaczyna od Chin przechodzi do Persyi, a ztąd do Braminów i najdawniejszéj poezyi indyjskiéj, przytacza najdawniejsze indyjskie poemata: Ramajan i Mahabharata równoczesne Homerowi; daléj przechodzi indyjskie drama, które porównywa z magiczną laternią. Ze wschodu przenosi się do Grecyi: ocenia Homera Iliadę i Odysseę. Najstarsza poezya grecka jest epos: nawet liryczna nosi na sobie cechę epiczności zwłaszcza z początku, nawet w Pindarze; najwyższy szczyt poezyi greckiéj tworzy tragedyą, która w samych początkach przedstawia tylko obrazy życia i różne sytuacye, jak w Eschylu. Charakterem greckiéj piękności jest pewna miara, harmonia, ujęcie bujnéj fantazyi w pewne kluby, panowanie nad poruszeniami wyobraźni i serca. Maxyma ta wynikła z ich bohaterskiego charakteru: kto innym chce rozkazywać, ten musi wprzód sam siebie opanować, ten musi wszystkie zewnętrzne wpływy z odwagą i chytrością do swego celu używać: zkąd się rodzi przytomność umysłu, jednem słowem panowanie myśli. Następnie przechodzi do Rzymu. Jak Rzymianie przyjęli do swego miasta bogów przez siebie zwyciężonych narodów, tak przywłaszczyli sobie poezyą i filozofią od Greków. Charakterem hebrajskiéj poezyi jest, że tutaj ów starożytny wschód z samym sobą spór wiedzie: jest walka wybranego narodu przeciwko poganizmowi; boleść była jéj udziałem, żal i smętność jéj charakterem. W chrześciańskich hymnach znajdujemy spojone oba żywioły; hebrajski i grecki dziwnym sposobem. Tymczasem w poezyi świeckiéj średniego wieku odżył znowu starożytny fantastyczny orient i zrodził romantyczność. Poezya arabska w tem jest podobna hebrajskiéj, że jest wyrazem prostego uczucia: w religijnym łonie koranu łączy się dzielność żołnierza, z zachwyceniem marzącego. Persya z powieściami miłośnemi należy do Arabskiéj.

Literatura krajowa.

Poezya.

Lech.

Do Leszka.

Bracie! minione nucić przygody
Jedna w niedoli pociecha,
A więc opowiem przygody Lecha,
Niechaj je slucha Lech młody.

Bujne nadzieje uniósł czas rączy,
Pierś gniotą losy opaczne,
Smutno zaśpiewam, lecz pieśń, co zacznę,
Daleka przyszłość zakończy.

I.

Oto długiemi sielan siedziby
Gnieżdżą się sławy-dzieci:
Ten pulchną glebę uprawia w skiby,
Ten wiosłem włada; a trzeci

Porzucił glebę, pogardził wiosłem;
W gronie Druidów i klech
Miecz mu puścizną, wojna rzemiosłem,
Dziki, wojenny — to Lech!

II.

W szerokich grodach lud zadumany
Nad pospolitą rzeczą,
Rządny, spokojny, a jego łany
Żelazne słupy bezpieczą;
Dwojgiem mórz pławi miasta korabli,
A broniąc rodzinnych strzech,
Cały wschód trzyma na krzywéj szabli,
Potężny, wolny — to Lech!

III.

Tam, tam dalekie konają wrzaski,
Szalone wichry tańczą,
Zachodu morza, Afryki piaski
Zabrzmiały pieśnią wygnańczą.
Rozpierzchłym listem w wichrach ulata
Z piersią rozdartą — —;
Bracia! bożyszcze młodego świata
Zemdlony olbrzym — to Lech!

A * *

Paweł Wyhowski.

Powieść kozacka.

Przez M. Czajkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

III.

Już południe — ziemia przykrążyła pod sam żar słońca — na dworskim dziedzińcu i pusto i czysto — a biedne chłopstwo zmitrężone robotą dla pańskiego widzimisię, szło na inną dworską powinność, doszemrując przekleństwa przeciw niedobremu panu, łając z cicha, myślą pańskich przystawów.

Wtem z daleka zadzwoniły pocztarskie dzwonki; hrabia marszałek spojrzał w okno; — wysadzoną drogą z Radomyśla pędzi kocz taszczony sześciorką dziarskich biegunów, — słychać, jak forys drze się na całe gardło, jak gdyby jego ze skóry darto, głuszy dzwonek, i kuczer czasami chrapawo zawrzeszczy i słowem i batogiem zagada do koni. Już widać, jak licowe i dyszlowe szkapy w kłusie polotnie nogami przebierają, aż w oczach się bałamuci, a przystiaźne załamawszy karki na strony, sadzą w czwałowych skokach, zębami ziemię chwytają, a grzywami zmiatają pył z drogi. Widać w spuszczonym koczu, jak na stósowanych kapeluszach pływają jasne pióropusze; jak czerwienią się kołnierze, pobłyskują ordery i guziki. Hrabia marszałek uśmiechał się i odwrócił od okna: „Maryo, proszę być grzeczną!“

Tu zahuczał bruk przed gankiem, aż szyby zadźwięczały; — niebawem kamerdynery i lokaje drzwi na rozcierz rozwarli; hrabia pokłonami i ściskaniem ręki przyjmował gości w progu; suwaniem butów po posadzce i uprzejmem wskazywaniem ręką, niejako ich popychał przed sobą do bawialnego pokoju.

Tu dopiero zaczęły się przedstawienia, i te rozmowy czcze, puste, ogołocone z uczucia, a dźwięczne brzmieniem głosu; te obrzędy wchodu do światowego towarzystwa, które zazwyczaj chrzci się mianem znajomości wielkiego świata.

Pułkownik był w kwiecie męzkiego wieku, urodziwéj postawy, twarzy przystojnéj, zwyczajnéj, która nie rozpłomieniła się wyrazem gorących uczuć, orlich pomysłów — niezacieniała się nijakością umysłowéj niemocy, ani też bawiła odbijaniem pociesznych przywidzeń myśli. Z dawnego rodu jeszcze Rurykowych Bojarów, żywił w sobie szczątki hardości swojego szczepu; wychowany w nowéj stolicy, w piotrowym grodzie, nabrał zwierzchniego poloru; to jest szychem obwinął i grubo obszamerował, co było rodzimego złota. Po francuzku gadał, jak Francuz, ale po rossyjsku nie jak prawdziwy Rossyanin; uczeń nowéj petersburgskiéj szkoły, nie powiedział dziesięciu wyrazów ojczystym językiem, żeby w nich nieznalazło się pięciu lub sześciu skradzionych z francuzkiego, niemieckiego, albo innego jakiego języka; czytywał francuzki *Journal des Debats* i inne peryodyczne pisma z zagranicy wpuszczone do Rossyi, i był, jak to zowią, tegocześni Rossyanie, liberałem. Jednak nigdy nie wahał się nad rozkazem wyliczenia pewnéj liczby setek pałek, albo nahajów swoim żołnierzom, lub sługom, — mówiąc: bez tego nic niemożna dokazać na świecie, a szczególniéj z naszym północnym ludem.

Grał, tańczył, śpiewał, rysował, a nawet haftował, a wszystko miernie. Począwszy od upinania piór przy niewieścich kapeluszach, idąc do składu parowych machin, i ocenienia siły wielomożnéj pary, a kończąc na filozofii Kanta: począwszy od rozbierania olbrzymich zamiarów Napoleona, idąc do muzycznego ducha Webera i Rossiniego, a kończąc, jaki powinien być kształt kopyta konia bieguna, albo skład piersi u lotnego charta; — na wszystkiem się znał i o wszystkiem rozmawiał — ale jak? — śmiało i bezczelnie. Poetę, dyplomata, chemika, modniarkę, myśliwca i żołnierza, zgoła wszystkich zawsze przegadzał, choć prawie nigdy nieprzekonał — czasami grzeczny, uprzejmy, serdeczny, a czasami cierpki, niedostępny — zmieniał się, jakby jedno trzymał z wiatrem, albo, jak to mówią, z niewieściem widzimisiem. Rad ucha nadstawiał podchlebstwom

i ciągle o sobie mówił — wedle niego jego ród był najdawniejszy, jego dostatki najpotężniejsze, i przygody, które go spotkały, jedne dziwniejsze od drugich; ale tylko w jego oczach — myślą sobie powtarzał, nademnie niemasz nic na świecie — jednem słowem był to skończony — Ja — utwór, jakich pełno wydaje pozorne wychowanie świata — dodać do tego należy, że wszystkie gry w karty znał tak dobrze, jak student swoje abecadło, i petersburgskim obyczajem umiał przegrywać pieniądze, ziemie, psy, ludzie, konie, a nawet swoje kochanki — i wszystko to raczéj z naśladownictwa, jak z upodobania.

Ludzie czucia i rozsądku uważaliby go prawie za nijakość, ludzie zaś mody mieli go za doskonałość; — jednak, ci co z blizka znali pułkownika, powiadali, że u niego czasami, choć rzadko, serce zagadało i chwilowo robiło go innym człowiekiem, jakim był za zwyczaj.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Słów kilka o duchu wychowania narodowego.

(Dalszy ciąg.)

Mam tu na myśli przywiléj. A lubo niektórzy naciągnąwszy tę rzecz do politycznego stanowiska, sądzą, że tym środkiem dążył naród do objawienia wrodzonego uczucia niezależności; ja wszakże mniemam, że to pod narodowym względem przeciwny sprawiło skutek. Nie wchodząc w robiór, czy ów środek z prawdziwie narodowego wylęgł się ogniska, czy nie było innych sposobów objawienia i utrzymania silnéj, bo urodzonéj narodowéj dążności; widzę tylko, że tym sposobem schodził naród z przyrodzonéj drogi, i rozpadł się na dwie nierówne, obce dla siebie cząstki. W skutek tego traciła spółeczność silny węzeł narodowego spoju, ciało jéj coraz więcéj w skrzywionym rozradzało się kierunku, i z jednéj strony zacierała się świadomość własnego pierworodu, a z drugiéj pozbawiona środków, nie posuwała się w swem rozwinięciu. Przyczyna takiego rozdwojenia, zatarasowawszy raz przystęp do źródła żywota, wylęgła ową jaskinię ciemni, która potwórne tylko wydała kształty, i nie tylko objawie zagrodziła piękności, ale samoż życie grubą mgłą pokryła. Spółeczność tracąc świadomość własnego wzoru, staje się bałwochwalczą i złotym cielcom kadzidła pali. Tak przy schyłku tego okresu widzimy coraz dalsze odstąpienie od téj nici, którą lud z własnego snując wątka, śladem pierwotnego prowadził życia. Szkoła, coraz ściśléjszą od spółeczności oddzielona linią, grzęzła w łacinie, widząc swój ideał w odgrzebanych starożytności cieniach. Jakkolwiek to w innym stanie rzeczy, do oświecenia przyczynić się mogło, obecnie zostawało w szkole i dla szkoły tylko. Spółeczność, nie snując z siebie, była bez wychowania, bez światła, bez życia. Większa część narodu, to jest lud odcięty murem przywileju od reszty, a przeto po za obrębem szkoły, pozostał samotny, rozgrzewając się przechowaną iskrą własnego acz nierozpłomieniającego się ogniska. Uprzywilejowana klassa oddzielona od ludu, przeto od źródła żywota, ścigała błędnemi manowcy pozorne cienie, i żywotnych pozbawiona soków, żadnéj już dla spółeczności nie przynosiła karmi.

Tento okres z początkiem panowania Jagielonów poczęty, z wygaśnieniem ich mężkiéj linii chyli się przeważnie w zgubnym swym kierunku, wreszcie jedną jeszcze przy końcu błysnąwszy próbą dobrych chęci, oddaje bezsilną spółeczność zgubniejszemu jeszcze wpływowi następnego okresu. Podobnie podróżny, zbłąkawszy się z właściwéj drogi na ponętne ścieżki nieznanéj puszczy, ogląda się za sobą dobrém natchniony przeczuciem; ale straciwszy świadomość kierunku, brnie daléj w odludną puszczę — a puszcza dzika, jałowa i przepaścista, nie już samą przykrością przeprawy, ale ciężkim głodem i rozpaczną zagraża śmiercią. Tak świetne Zygmuntów czasy, w płodach ówczesnéj literatury oznaczają ów punkt instynktowego natchnienia, owo głuche przeczucie czegoś innego, nad to, czem się spółeczność karmiła. Ów prosty i czysty dźwięk rodowego języka stając obok obcéj łaciny, stałby się był kluczem od skarbów, przewodnikiem straconéj drogi, schwyciłby zapewne ducha starożytnych wzorów, któremi się karmił, i tą oświecony iskrą, do własnych kopalni po podobne zaprowadził żywioły — ale wrogie przeznaczenie uskąpiło czasu, przebrzmiała nóta, zanim spółeczność w swoim dźwięku rozmiłować się mogła, a przeważny wpływ innych żywiołów snadno bardzo zdołał zalać duszę, z pierwszego jeszcze nie podźwignioną upadku. Księża Jezuici rozpoczynają drugi wychowania okres. A jeżeli pierwszy był tylko zbłąkaniem, to drugi zupełnem odjęciem środków do powrotu, czarną kataraktą dla zdrowego oka, dziką puszczą z wszelkich do wydania życia ogołoconą soków. Czasy te nie tak od nas odległe, zachowały ślady przemożnego ich panowania i wpływu na wychowanie narodu. Dosyć będzie rzucić okiem na te foliały ówczesnych płodów, to rozlanie się teologicznych zaciekań na wszystkie nauk gałęzie, tą bezduszną grę liter, które w szkolne ujęte wyrazy, równie zapamiętały, jak bezcelny z sobą bój staczając, filozofią się zwały; w końcu owo zupełne zatracenie rodowitego języka — aby nie westchnąć na

środki takiego wychowania, i srogich dla spółeczności nie przewidzieć skutków. Jakoż spółeczność zawsze pierwszego pozbawiona spoju, tracąc w tym okresie klucz własnego przybytku, w gwarze rozstrojnych głosów, bez żadnego śladu jakiegożkolwiek istotnego wzoru; jako ciało bez ducha miała się do ostatecznego upadku, i w zupełnem otrętwieniu nie było ni świadomości obecnéj niedoli, ni środków wydobycia się na widnią. Przecież nie zaginęła dusza, chociaż twarda kora głęboko porasta w ciało. Ciężkich trzeba było razów, aby tak śpiącego dobudzić się życia: i oto z wszelkich nieszczęść powodzi jawi się jakaś oznaka światełka, nowy poczyna się okres, chociaż prawdziwe życie za grubą przywalone materyą, aby bez wielkiego wysilenia wytrysnęło posiłkiem zgłodniałemu duchowi.

Szwedzka wojna jeśli srogim dla spółeczności była biczem, to z drugiéj strony nakierowała rzeczy do wydania ważnych skutków. Emigracya młodzieży, upadek Jezuitów, torują drogę nowemu okresowi, który od połowy zeszłego wieku, już to po raz trzeci nowemi żywioły na wychowanie narodu wpływa. Potrzeba było, aby indywidua nie całkiem jeszcze umorzonego ducha, za granicą wegetującéj spółeczności nad jéj stanem zadumać się mogły, aby widokiem wcale innego uderzone życia, głód własnéj spostrzegły ziemi; aby bódźcem dobrych chęci zagrzane, przystąpiły do starcia pleśni z społecznego ciała. W skutek tych usiłowań rozległ się najprzód głos czyściejszego tonu, a spółeczność po tym rodzimym dźwięku trafić miała do źródła własnego przyrodzenia. Ale i najlepsze chęci nie mogły zaraz na środek prawdziwéj naprowadzić drogi, bo naród przez wieki w grubéj drzymał pomroce. Jeśli bowiem z jednéj strony upadła łacina otworzyła drogę narodowemu językowi, to z drugiéj strony wstępował wzór głośnobrzmiącéj literatury francuzkiéj, jako ideał umysłowego życia, bo własne ziarno za głęboko zagrzebane zostało. Chęć poznania bliżéj tego ideału powiodła do poznania jego organu, a tak z językiem przyjmowały się snadno francuzkie wyobrażenia, bo zbyt zgłodniały naród nie mógł przebierać strawy, ani się zastanowić nad naturą jéj soków. Nazbyt nam są blizkie te czasy, abym potrzebował w całej ich rozwinąć rozciągłości, dosyć nam będzie powiedzieć, że okres ten poczyna nasze wychowanie na wzór europejski. I jakkolwiek naród zdawał się przychodzić do siebie, jakkolwiek piękne co do języka pojawiały się płody, jakkolwiek dobrych chęci jawiły się zakłady; wszystko to jednak spodziewanych nie przyniosło skutków, i w miejscu dawnego złego, nie mniejsze teraz stanęły zapory na drodze prawdziwego życia. Naśladownictwo nie podniosło żywota, a język wygładzony w piśmiennictwie, obce przerabiając, a często naśladowane naśladując myśli, żadnego nie daje życia, bo życie w ruchu tylko zewnętrznym naśladować można, ducha zaś z własnego łona wydobywać trzeba, ztąd i naród pod względem swojego życia sam sobie winien być wzorem, jeźli się rozwinąć i do szczytu wznieść pragnie.

Spojrzawszy na naszę przeszłość, ważąc ją pod względem wychowania i wpływu ztąd na życie ogółu, przyznamy, że pierwsza przyczyna niszcząca ów spój rodzimy wewnętrznéj całości, otworzyła drogę wszelkim obcym i niewłaściwym żywiołom, które działając na wychowanie, przygnębiały coraz mocniéj własny żywot jego, tak, że dotąd przyjść do siebie nie może. Przypatrzywszy się bowiem bliżéj dzisiejszemu życiu, trudno nie widzieć, że taż sama przyczyna też same wydaje skutki, że wpływ ostatniego okresu nie ustaje jeszcze, i lubo nie w tak szerokim trwa rozgałęzieniu, skutki jednak jego widocznie spostrzegać się dają; że pożyczane światło ogrzewa tylko skorupę żywota, nie przenikając głębi jego; że nakoniec ulegając zarządowi żywiołów wiek nasz składającemu, więcéj jeszcze oddaliliśmy się od żywotnego źródła, przybierając różnobarwny pozór życia całéj Europy. Niechaj nas nie łudzą owe na pozór nowe kierunki naszego piśmiennictwa; jeźli bowiem chwalebne usiłowania wydobycia się na widnią z powszechnego zamętu, pojawiły się nam w pewnych próbkach świeższego życia umysłowego, to zaiste nie są to epoki, jak o tem niektórzy szumno zwiastują, a tem mniéj żywioły pożądanego odrodzenia. Gdybyśmy przestając na nich, wycisnęli treść naszéj literatury, wtedy sumiennie sądząc, ujrzelibyśmy wieczny kołowrót ulubionych wieku myśli z zakrojem Niemców, Francuzów, Anglików, żadnym nie ożywiony duchem, w polskie przybrany wyrazy. Jestże tam odbicie własnego życia wedle pierwotnego Boskości ziarna? bynajmniéj! — widać ruch muszkularny do taktu wieku, a życie śpi w głębi. Obok tych skutków, a zarazem i materyałów publicznego wychowania, zwróćmyż oczy na najbliższe środki onego, zwróćmyż myśli do szkół i zakładów edukacyjnych.... jakie ziarno, takie i owoce. Nie dziw więc, że się w nich nie szuka i nie wynosi, czego nie mają; że zapełniają je po większéj części głodni, w téj nadziei a najczęściéj i korzyści, iż za ich pośrednictwem chleb pozyskują. Wyższe zakłady tak nazwane dla szlachetnéj, to jest majętniejszéj młodzieży, czemże się różnią od tamtych? Zważywszy to ćwiczenie pamięci nabytkiem martwych wyrazów, to rozwijanie czasowych samolubnych rzeczy wyobrażeń, które od kolebki już w młodociane zaszczepia się serca; daléj

te formułki życia dobrym tonem zwanego, i najgłówniejszy cel edukacyi — świergotanie francuzkiemi wyrazy; nie przedstawiż się nam szkoła teatralna komedyantów tylko, nie zaś cnotliwych ludzi kształcąca dla spółeczności? — Nic dziwnego zatem, że brudne źródło niezdrowe rozlewa soki we wszystkie życia gałęzie, że chorowitość ta u wyższych niższe zaraża klassy, bo zewnętrzna forma za rzecz uchodzi, i każdy zapatrując się na wzory, pragnie sobie przywłaszczyć znamiona rozumem zwane. Zacząwszy od rodzicielskiego domu, który podobnem oddychając życiem, wcześnie już do przyjęcia onego usposabia; rozchodzi się wychowanie w jednakim kierunku, i w jednakich życia zarysach jawi się w spółeczności. A choć się zdarza, że indywiduum siłą własnego przyrodzenia wystrzela z owych ciemnych zarośli, i pożywnych załaknie soków; to błędne wiedzie kroki po mglistym obszarze piśmiennictwa, i jeżeli nie zatonie w nurtach bezlądowego morza, to łaknące i samotne, jakby z łańcucha zerwane ogniwo, staje się prawdziwym osobnikiem, i smętnym tylko jękiem ostrzega innych o bezużyteczności swoich chęci. Tak w najdrobniejsze tego obrazu wglądając szczegóły, jedna wszędzie przebija się barwa: bezduszne naśladownictwo, pozór w miejscu rzeczy, brak ducha i miłości, jednostronny ruch w głównym kierunku zaspokojenia materyalnych potrzeb, słowem wszystkie cechy mistrzującego dziś wieku.

(Dokończenie nastąpi.)

Bitwa pod Beresteczkiem 1651.

(Dokończenie.)

Powracam do obozu królewskiego. Część wojska naszego stała w pośrodku przeciwko Kozakom i z obu stron z dział bito. 2go Lipca. Wda ruski i chorąży kor., chcieli około obejść, ażeby Kozakom przejście odjęli, ale do skutku tego nie przyprowadzili, nie próżnowano jednak z obu stron działami. Pod wieczór Kozacy wycieczkę uczynili pod górę, lecz od nas spłoszeni są nie bez klęski ich, a bez żadnéj naszych szkody. 3go Lipca. Z obu stron z dział bito; około południa słyszany był odgłos, jakoby Chmielnicki z Tatarami się wracał, lecz wkrótce ucichł. Wieczorem, gdy warta nasza się odmieniła, niespodzianie Kozacy napadli, lecz odegnani są nie bez trudności. 4go Lipca. W nocy Kozacy cicho wkradli się do jednéj municyi i kilku naszych zabili; drudzy uciekli i dali o tém znać, wnet tedy nasi ich ztamtąd wyparli i kilku zabili; tymczasem nasi żołnierze bliżéj się pomykali ku nieprzyjaciołom. Piechota fosy kopała i wały wysypowała, zkąd mogli bliżéj na nieprzyjaciela strzelać. 5go Lipca. Z obu stron nie przestano strzelać. Tego dnia przybył wda kaliski z wspaniałą apparencyą. 6go Lipca. 3 posłów kozackich przybyło do króla, prosząc o pokój. Jeden ich imieniem króla prosił, aby się został, drudzy dwaj wrócili się z mandatem królewskim, aby nazajutrz przyśli po respons. Po odejściu ich, zbieg, szlachcic Liniewski, przybywszy do naszego obozu twierdził, iż chan tatarski został w Wiszniowcu, którego Chmielnicki upraszał, aby się nazad wrócił, albo przynajmniéj część mu Tatarów pozwolił, i dla tego to Kozacy leniwo postępowali w proszeniu miłosierdzia. Ku wieczorowi wda poznański prezentował się przed królem. 7go Lipca. Rano otrąbiono, ażeby żaden z obozu się nie ruszył, i wszyscy byli gotowi. Kozacy żądali, ażeby pakta zborowskie były zachowane. Z gniewem odrzucił ich żądanie hetman, prędzéj im obiecując miecz, niżeli taki pokój. Król potém wysłał do Kozaków Chaleckiego z takiemi kondycyami: 1) ażeby Chmielnickiego z całą jego familią i starszych swoich wydali; 2) aby pospólstwo wróciło się do domów swoich, oręże oddawszy królowi; 3) aby podlegali ordynacyi rzpltéj, którą na przyszłym sejmie ferować będzie. Nie przyjęte te są kondycye i owszem ledwo jest wypuszczony Chalecki, którego chcieli zatrzymać, aż Kresa wrócony będzie. Ku wieczorowi szlachta mazowiecka przybyła. 8go Lipca. Kozacy przez posłów odrzucili kondycye królewskie. Czém rozgniewany król, kazał ustawicznie z dział na nich bić, jakoż wielu ich ginęło; kazał też wszystkim naszym być gotowym do jutrzejszego szturmu. Tego dnia wda inowrocławski przybył do obozu. 9go Lipca. Wczorajsza deklaracya nie jest przyprowadzona do skutku. Znowu posłowie kozaccy przybyli do hetmana, prosząc o niepodobne rzeczy, lecz hetman złajawszy ich, odprawił. Głoszono, że Kozacy myślą w nocy przez nasz obóz przejść, przeto cały obóz przez całą noc gotów stał. 10go Lipca. Rano wda bracław. z kilku tysięcmi na drugą stronę rzeki przeszedł, w tył im zachodząc. Skoro to postrzegli Kozacy, wnet przedniejsi z nich w pole wyszli, nie wiedząc na jaką imprezę, a tymczasem pospólstwo rozumiejąc, że ich starsi uciekają, zaczęło wołać: uciekajcie bracia, i wnet wszyscy uciekać poczęli, a nasze wojsko na ich obóz napadło, których znaleźli, wycięli, za drugimi z kilka mil uganiali się; na 10,000 tego dnia zabito ich, między nimi i arcybiskupa, metropolitę rus., który (jako powiadają) z benedykcyą przybył od patryarchy do Chmielnickiego, któremu w niebytności żony, z drugą ślub dał, i absolwował go od wszystkich grzechów, tak przeszłych jako i przyszłych, dając benedykcyą i moc na wykorzenienie katolików. Tego tedy arcybiskupa jeden młodzieniec zabił; mitra jego i biskupi ubiór dostały się królowi; wiele chorągwi wziętych, które wszystkie przed obrazem Najś. Pan. z Chełmna przed tą ekspedycyą wziętéj, położono. Te Deum Laudamus król z całém wojskiem klęcząc na ziemi bez poduszki, śpiewał, Bogu i Matce Przenajświętszéj za to zwycięztwo dzięki oddając. Tymczasem piechota i pacholikowie obóz nieprzyjacielski rewidowali, znaleźli tam dostatkiem prowiantu, futer, sukien, różnego naczynia, strzelby, pieniądze; działa królowi są oddane; kilku naszych więźniów tam znaleziono, między którymi był Wielamowski, podkanc. lit., porucznik, który już obiecywał 4000 zł. na okupienie swoje. Ku wieczorowi król miał sekretne konsylium, na którém uradzono, aby het. pol., wda rus. i chor. kor. za uciekającymi poszli, co oni uczynili, i wielu po bagnach i po lasach ich wycięli; a co dziwna rzecz jest, że żaden z nich o miłosierdzie nie prosił, ale dobrowolnie szyję pod miecz poddawali, przeto bez politowania ich ścinano. W nocy otrąbiono, aby wszyscy gotowi byli uganiać się za Kozakami. 11go Lipca. Lecz wdztwa przeszkodziły téj ekspedycyi, które koniecznie domagały się rozmowy z sobą. 12go Lipca. Na wzajemnych radach dzień straciły. 13go Lipca. Uradzili 10,000 wysłać w pogoń za nieprzyjacielem, a sami do domu się napierali. 14go Lipca. Król chcąc ich przykładem swoim pociągnąć do dalszéj persekucyi nieprzyjaciela, pojechał do Krzemieńca; lecz nic nie wskórał, bo oni rozpełzli się do domów swoich, i tak musiał król resztę wojska z hetmanami wysłać w wnętrzności nieprzyjacielskie, a sam do Lwowa przybył, z niewczasów na dessenteryą zachorowawszy. Tam po kilku dniach wykurowawszy się, przez Lublin powrócił następującego mca do Warszawy.

Przegląd pism.

Słowianin, zebrany i wydany przez Stanisława Jaszowskiego. Lwów 1839

Jestto snopek na niwie literackiéj gallicyjskiéj uszczkniętych kłosów, w czasie dość długiéj posuchy tym więcéj dla ogólnéj literatury polskiéj pożądany, że nam daje świadectwo o naukowem życiu, przynajmniéj kilku młodszych i dawniejszych literatów, którzy już i w innych pismach gorliwości swojéj o rozkrzewienie oświaty krajowéj nie poślednie złożyli dowody. *) Do nich należy sam wydawca, daléj Adam Gorczyński, autor powieści historycznych Jadama, Karol Antoniewicz i kilku innych. Znajdują się tu powieści prozą, n. p. Przeznaczenie Żołnierza p. wydawcę, Krzysztof Strzemeski; wierszem: Popowna z Rohatyna przez wydawcę, Hynek z Waldsztejnu, Chleb, legenda p. Adama Gorczyńskiego, Roman, powieść Huculska p. Karola Antoniewicza, Łupy, Iza i Mielanko p. Gorczyńskiego; daléj Wyimki z podróży, jak: Wyjątki z podróży po Czechach; Jeden dzień z życia mego, wyciąg z dziennika podróży do Jass p. Kar. Antoniewicza; Czerkiesy z opowiadania wojskowego; Opisy: Wołek p. Tomkiewicza, Opis historyczno-topograficzny zamku Krzemienieckiego, kościół S. Stanisława w Rzymie; rozprawki: O mitologii ruskiéj, O Cyganach krótka wiadomość p. Łopacińskiego, Uczeni Europy pod względem Armenii p. Kar. Antoniewicza, Jan i nauki p. St. Przyłęskiego, Uwagi estetyczne Turowskiego, Słów kilka wydawcy do recenzentów. Nareszcie historyczne wyjątki, n. p. Wyimki z rękopismu Chwalczewskiego, Wspomnienie o Weiherze; nakoniec mniejszych poezyj bardzo wiele: Turowskiego, Olizarowskiego, Anny z Krakowa, Januarego Poźniaka i t. d. i t. d. Słowem jest to umysłowy bankiet, gdzie obok łechcących podniebienie łakoci, i pożywniejsza znachodzi się strawa.

Wyjmujemy z tego zbioru humorystyczną powiastkę J. M. Ossolińskiego ze znanego dzieła w rękopiśmie: Strachy Badeńskie, którąby nazwać można: Drugi Albertus, czyli Nie każdy kąsa, co wąsami trząsa.

»Ubóstwo szlachectwa nie traci,« mówił wczora celnik. Ojciec mój, czego na swoje zgoda albo niepozwalam na sejmiku nie zarobił, tego nie miał; spłodził też i mnie bratem Łatą. Niebyło za co sługi trzymać, musiało się służyć; zaciągnąłem się na pocztowego pod chorągiew, a żem był chłop silny, dziarski, a najbardziéj żem czapkować umiał, wziął mnie namiestnik do swego boku: co większa polubił mnie, zawszem musiał być przy nim albo za nim. Osobliwszy to był człowiek! — po trzeźwu i bababy go pęcherzem wystraszyła; niech zaś mało niewiele w pałkę nalał, nie dbał nic i na archanioła z ognistym mieczem.

Zabawna rzecz mu się raz przytrafiła: powrócił był póżno w noc na kwaterę pod dobrą datą. Rozzułem go, położyłem na łożku. Nim wyszedłem do stajni, już dobrze chrapał. Przez godzinę mniéj albo więcéj chędożyłem konie; miał ich pięć, służąc na dziesięć. Tandem zabierałem się do leżeńska, alić słyszę puk z pistoletu, słyszę po chwili i drugi. Jaki taki biegł pode drzwi, pobiegłem i ja, chociaż o jednym bócie. Kaci nieprawda! przypomniałem sobie, że tego wieczora, gdy siedział za stołem pod wiechą ze swoją panią duszką, a ta się na niego cały czas kwasząc, szeptała drugim do ucha, kręcił wąs i raz po raz czapki poprawiał; a jak się jéjmość z czeredą wyniosła, garniec miodu na fantazyą wypił; toż przy rozbieraniu mało mi uszów i nosa nie oberwał, z czego wnosiłem, ażali przez rozpacz nie wyprawił się kulą w łeb na tamten świat. Wcale było do tego podobieństwo, gdy jakeśmy stali za drzwiami, nic się nie odzywało; czém samém ośmieliliśmy się wyłamać je. Zastaliśmy w izbie pełno kopciu i dymu . . . pana ani śladu. Dalibóg już przysiągłem był, że go diabli z duszą i ciałem porwali. Przetrząśliśmy wszystkie kąty, nie znaleźliśmy nic a nic; nakoniec przyszło nam przecież do głowy zajrzeć pod tarczan. Tu chwała Bogu! znalazła się zguba . . nie było na nim znać ni krwie, ni rany, ni sińca . . cały jednak skośniał i leżał martwy jak trup. Nie wystarczył gąsiór wódki na trzeźwienie; dołożyło się kułaków i targańców co nie miara; dopiero wyłupił oczy. Ale jeszcze długo nie można się było na nim i słowa dobadać. Tymczasem ktoś postrzegł otwarte okno, w niém ręcznik dwa razy przestrzelony. Ten ręcznik tlił się jeszcze. Jaki taki cha cha cha! wszyscy już byliśmy w domu. Rzecz się tak miała; wyszumiawszy trochę z wieczornego podchmielenia, mój pan namiestnik przebudził się był. Spojrzał w okno nagle; wiatr właśnie unosił ręcznik; jemu się z téj okazyi przywidziało, że się jakiś duch w bieli piął oknem; ja go znam, nie wątpię, że pewnie raz i drugi krzyknął: werda? a gdy i za trzecim nic nie odpowiadano, wypalił z pistoletu. Po tym wystrzale ponowił jeszcze fayer: wszakże gdy ani drugą razą nie zgładził nieprzyjaciela, a zabrakło amunicyi, zrejterował się pod tarczan. Jednakże jemu samemu trudno było to zdarzenie w ten sposób wytłómaczyć. Owszem przyjechawszy do chorągwi, klął się na duszę i ciało, że się z biesem strzelał; a kiedy w czub nalał, to i poczęstowałby był ładunkiem, gdyby mu się kto był sprzeciwił. Toto są strachy, przydał rewizor: niech kto sobie niemi głowę nabije, będzie się bał i swojego własnego cienia!

*) Żałować trzeba, iż literaci tak sławni jak Magnuszewski, Bielowski, Kamiński, nie zasilili Słowianina swemi pracami.

Roman.

Powieść huculska p. Karola Antoniewicza.

Na wysokiéj połoninie
Roman leży, krew z ran płynie,
I z głębokiéj studni wody
Chce się napić dla ochłody.
Z łzami bratnie dłonie ściska,
Bo sam czuje, że śmierć blizka:
»Hej Stefanku, zejdź w dolinę,
Pozdrów tkliwie mą rodzinę.
Tam nad Prutem nasza chatka,
U drzwi stuknij, wyjdzie matka;
Ty jéj powiedz, niech nie zwleka,
Bo śmierć długo nie poczeka;
Syn jéj kona w ciemnym lesie,
Niech mu wody dzban przyniesie;
A wy do mnie towarzysze,
Niech raz jeszcze pieśń usłyszę,
Pieśń huculską, pieśń karpacką;
Lecz zanućcie mi ją chwacko,
Jak to niegdyś, gdy my społem
Roztrącali chmury czołem.«

Spiew.

Wstrzymaj orle bujny lot,
Bo cię woła Hucuł, brat;
Już w Karpatach runął grzmot,
Lećmy razem, tam nasz świat.

Grzmotem w piersiach naszych śpiew,
Kiedy wita błogi maj:
Ogniem w żyłach pryska krew,
Gdy się liściem ścieni gaj.

Hej kto nie zna naszych gór,
Tęskny z życiem wiedzie bój!
Tam w dolinie pełno chmur,
Tu na górach światła zdrój.

Przyszła matka, ale wody
Dzban nie niesie dla ochłody:
»Mój Romanie, nieszczęśliwy,
Powiedz, gdzie twój towar siwy? *)
Gdzieś zakopał twoje złoto?« —
Matko, ty się pytasz o to,

*) Huculi srebro siwym towarem nazywają.

Ty nie pytasz się Romana,
Gdzie go krwawa boli rana?
Śmierć z ciałem i skarb zagrzebie,
Moje złoto nie dla ciebie!
Chatka twoja tam w dolinie,
Grób Romana w połoninie. —
Hej Stefanku, wróć w dolinę,
Idź do ojca, mów, że ginę.
Niech z głębokiéj studni wody
Dzban przyniesie dla ochłody.
A wy bliżéj towarzysze,
Niechaj jeszcze raz usłyszę
Pieśń, cośmy niegdyś śpiewali
Śród szumiących Prutu fali!

Ś p i e w.

Hej! odbijmy łodź od brzegu;
Prucie, nasza górska rzeko,
Wód jaskółce pomóż w biegu;
Tam w dolinie, niedaleko,
Tam gdzie chatka, tam przy skale,
Tam nas nieście Prutu fale!
Prut się pieni, łodź umyka,
Ledwie wody się dotyka,
Jak koń jeźdźca gdy poczuje,
Fala wioseł moc poczuła,
I już łodki nie wstrzymuje,
Bo Prut poznał łodź Hucuła.
Piękne wody po dolinie,
Piękne zdroje w połoninie;
Lecz nad inne miléj dzwonią
Prutu fale górską pieśnią,
Gdy nad nimi chmury gonią,
Gdy je w brzegach skały ścieśnią.

Przyszedł ojciec, ale wody
Dzban nie niesie dla ochłody:
»Mój Romanie, nieszczęśliwy,
Powiedz, gdzie twój towar siwy?
Gdzieś zagrzebał twoje złoto?« —
Ojcze, ty mnie pytasz o to,
Ty nie pytasz się Romana,
Gdzie go krwawa boli rana?
Śmierć z ciałem i skarb zagrzebie,
Moje złoto nie dla ciebie;
Twoja chata tam w dolinie,
Grob Romana w połoninie.
Hej Stefanku, ten raz jeszcze,
Po téj krętéj wązkiéj ścieżce,
Zejdź w dolinę, tam gdzie kładka,
Tam wysepka, na niéj chatka,
W cieniu jodeł, obok młyna,
A w téj chatce jest dziewczyna;
Ty jéj powiedz, niech nie czeka,
Bo śmierć blizka, czas ucieka;
Roman kona w ciemnym lesie,
Niech mu wody dzban przyniesie!
A wy do mnie towarzysze,
Niech wasz głos jeszcze usłyszę,
Zanućcie mi pieśń rozstania,
Pieśń nadziei zmartwychwstania!

Ś p i e w.

Na góry, na góry,
Tam bliżéj do nieba,
Tam słońce, tu chmury,
Nam słońca potrzeba!
Bywaj zdrów Romanie,
Twa pamięć nie zginie,
Tu z nami zostanie,
I w wieki popłynie.
Gdy w późnéj dzwon dobie
Na zdrowaś zadzwoni,
Tu Hucuł przy grobie
Łzę tobie uroni!

Przyszła Afija, jak wietrzyk majowy,
Chód jéj był lekki, a dźwięk słodkiéj mowy
Jak śpiew skowronka, błękitne jéj oko,
W rany Romana zajrzało głęboko;
Ulgę przyniosło, bo łza w oku była,
A ta i duszy rany zagoiła,
Mówić nie mogła, przyklękła, płakała,
Do ust schorzałych dzban wody podała.
Roman się napił i w górę wzniósł czoło,
Ścisnął dziewczynę i w niebo wesoło,
Wzrok, serce wlepił, pojednał się z losem.
I do Afii słabym wyrzekł głosem:
»Dziewczę, bądź zdrowa! skowronek zadzwonił,
I blask się rozlał na góry i błonie;
Wiatr chmury spędził i błękit odsłonił,
I ja z chmurami w inny świat pogonię!
Dziewczę, bądź zdrowa! drzy łza w twojém oku,
Ach, jakże smutno będzie mi bez ciebie!
Gdybym cię zawsze mógł mieć przy mym boku!
Tyś moją duszą, gwiazdą na mém niebie!
Ja biedny Hucuł, już śmierć w sobie noszę,
Ścigany, błędny, śród skał umrzeć muszę;
W zamian za życia miłośne rozkosze
Tobie w pamiątkę oddaję mą duszę!«
I Hucuł dziewczę do serca przycisnął,
Odwrócił głowę, może łzę uronił,
Smutnych Hucułów dłoń po dłoni ścisnął,
Weschnął raz jeszcze, w inny świat pogonił.

N.

Doniesienia literackie.

Zeitung für die elegante Welt, pismo belletrystyczne, wychodzące pod redakcyą Dra F. G. Kühne, zawiera w Nrze 55. wzmiankę o Polszcze i Goszczyńskim, téj treści: »Polacy byli oddawna czołem całéj Słowiańszczyzny. Czesi dawniéj najsilniejsi, najodważniejsi, Polacy byli i są najognistsi i u nich się słowiańska narodowość i cywilizacya najlepiéj rozwinęła. Już w średnim wieku poszła ich uczona oświata w przysłowie; jako naród potężnie wpływali na losy Europy i dziwne, tragiczne przechodzili losu koleje. Po upadku nawet silnie dźwiga się ich literatura, mając o losach tego narodu dać kiedyś w potomności świadectwo. Jeden z najmłodszych polskich wieszczy jest Seweryn Goszczyński, rodem z Ukrainy. Między rokiem 1820—30. musiał nad brzegami Dniepru wieść życie tułacze pełne niebezpieczeństw, że miał udział w politycznych związkach, i w témto tułactwie napisał Zamek Kaniowski, poemat stawiający autora obok Mickiewicza. Londyńskie *Foreign Quarterly Review* daje wyjątki z tego poematu w angielskim przekładzie, z tą uwagą: że zbolały ponuro ognisty język Goszczyńskiego, przy wczesnéj dojrzałości myśli, okazuje formy jeszcze nie zupełnie wyrobione.« Kończy się ten artykulik zachęceniem Niemców do poświęcania się polskiéj literaturze jako dawniejszéj i ważniejszéj, niż inne słowiańskie, którym się n. p. Varnhagen, Koenig i inni tak gorliwie oddają.«

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*